



FOTO: JACEK HEREK

WC – Ambasador Kociewia

Z Wojciechem Cejrowskim rozmawia Bogdan Wiśniewski

– BW: Gratuluję – także w imieniu czytelników „Informatora Pelplińskiego” – otrzymania honorowego tytułu Ambasadora Kociewia. Jak mało komu, ten tytuł panu się należał. Tak jak każdy porządny ambasador, solennie reprezentuje pan Kociewie w różnych regionach Polski i świata. Przy każdej bez mała okazji (także w programach telewizyjnych) podkreśla swoje pochodzenie. I widać, że czyni to autentycznie, chciałoby się powiedzieć: programowo. Jakimi wartościami pan się kieruje, podkreślając swoje przywiązanie do małej ojczyzny? Czym dla pana jest Kociewie?

– WC: To wszystko z miłości do mojego Ojca, Stryja, do Ciotek, które mnie chowały, do Babci. Kocham ich, kocham więc Kociewie. Oni mówili do mnie JO, to kocham mówić JO. W sobotę „po południu” szrubrowało się w Osieku jezdnią przed posesją. Ciotka Jadzia dawała nam szruber i szlauch i pokrzykiwała: „Szrubrujta, pieruny, na glanc! Żeby biło czysto na niedziela”.

Za gratulacje dziękuję, ale naprawdę ja tego nie robię z żadnego przymusu, ani planowo. Samo wychodzi.

Kiedy mnie Ojciec posłał do szkoły w Warszawie, to ja tam z moją gwarą byłem „wsioch”. I mnie się to podobało. Na korytarzu szkolnym, na przerwach, mówiłem do nich gwarą i nie wszystko rozumieli. Bo dla warszawiaków sznytka, wurszta i musztyk to były obce słowa. Więc miałem swoje tajemnice – sznytka z pomaską, a na sznytce leberka. Na lekcjach za to mówiłem taką poprawną polszczyzną, do jakiej oni mieli daleko i to ich wnerwiało, że „wsioch” zna dwa języki lepiej od nich – kociewski i polski. Na korytarzu nie mieli pojęcia, co to sztrum, a na lekcji fizyki byli słabsi ode mnie z prądu elektrycznego. Mnie te wyścigi z nimi sprawiały przewrotną frajdę – chcecie „wsiocha” pokonać, kujndy jedno, to spróbujcie...

I ścigam się tak z warszawiaczkami do dzisiaj. Staram się robić najlepsze programy w TV czy w radiu, a jednocześnie pozostawać tym „wsiochem”. I całują się w dupy, Antki.

Naprawdę żaden tytuł oficjalny mi się nie należy za robienie sobie jajców z warszawiaków.

– BW: Otrzymując wiadomość o przyznaniu honorowego tytułu Ambasadora Kociewia, stwierdził pan, że bardziej należał się on pana śp. ojcu, Stanisławowi Cejrowskiemu – znanemu i wielce zasłużonemu animatorowi życia muzycznego w Polsce, m.in. twórcy Agencji Artystycznej Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, sekretarzowi generalnemu Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, dyrektorowi artystycznemu Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, organizatorowi i dyrektorowi Międzynarodowego Festiwalu Jazz Jamboree, pomysłodawcy regulaminu przyznawania „Złotej Płyty”, współtwórcy grupy folkowej „No To Co”, inicjatorowi głośnego polskiego rock musicalu „Kompot”, a także pierwszej w Warszawie... dyskoteki. Można by tak jeszcze długo wymieniać, ponieważ lista jego zasług jest niewyczerpana. Był także twórcą popularnego w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych XX w. i organizowanego w Osieku „Ciemnogrodu”. To ojciec uczył pana przywiązania, miłości do Kociewia?

– WC: Ojciec dawał przykład, a ja podziwiałem. Miał takie pomysły, jakich nie miał nikt znany mi... może jeszcze poza moim stryjem, Andrzejem Cejrowskim, którego kocham i podziwiam tak samo jak Ojca.

Ojciec kolegował się z Czesławem Niemenem, którego śpiewanie nie podobało mi się wcale – doceniałem sztukę, ale nigdy nie byłem fanem. Ale... kiedy Ojciec zabrał Niemena do naszej wioski i potem przez 40 lat baby o tym gadały – podziwiałem to gadanie. Bo Ojciec zrobił dla tej wioski coś pamiętnego, a jednocześnie to było takie proste i zwyczajne. Przespacerował się ze swoim kumplem po naszej wsi. To wszystko. Poszli do gospody na żupę. Ojciec wiedział, że ten jeden krótki spacer z Niemenem będzie ważniejszy od wielkiego koncertu. I był ważniejszy! Ludzie we wsi to zapamiętali i było to dla nich doniosłe, że Stachu przyprował Niemena.

A potem, kiedy ja dorosłem, Ojciec został moim impresario. I pewnego dnia idziemy przez Osiek, a Ojciec pokazuje na kawałek łąki koło Kółka Rolniczego i mówi: „Zrobimy tu imprezę dla tysięcy ludzi”.

I zrobił „Ciemnogród”. I przyjechało PIĘTNAŚCIE tysięcy ludzi – do wioski, w której mieszkało 212 osób. Ja tylko jeździłem po Osieku konno i występowałem na scenie, a te piętnaście tysięcy ludzi we wsi to zastuga Ojca. To On był AMBASADOREM, Suwerenem i Królem. Ja byłem jedynie komediantem na Jego scenie.

– BW: Ojciec został pochowany na pelplińskim cmentarzu. Bywa pan przy jego grobie nie tylko, aby się pomodlić.

– WC: Kościół uczy o świętych obcowaniu, to sobie obcuje. Nie tylko się modłę, ale też obcuje. Gadam do Ojca i on w niebie słyszy. Nie zagadał nigdy do mnie, bo pewnie bym wtedy narobił ze strachu, ale słyszy, widzi. I widzi też Boga twarzą w twarz, więc jeśli w jakiejś mojej sprawie rodzony Ojciec poprosi Boga, to jest lepsze wstawiennictwo niż moja samodzielna prośba.

Popijamy też sobie razem tabasco (ostrzy sos z Luizjany). Ojciec lubił tabasco, nauczyłem się od Niego i też lubię. Więc, gdy jadę na grób, zabieram też tabasco. Trochę popiję ja, a resztę wylewam Ojcu. Otwartą flaszkę wbijam do góry nogami w ziemię na grobie i tak się sączy powoli, w czasie, gdy obok płonie znicz.

Nie wiem, co lubił Pan Olek Lotkowski z „Bernardinum”, który ma grób zaraz obok. Gdybym wiedział, to Panu Olkowi też bym coś przyniósł. Lubitem go bardzo. I nadal tęsknię.

– BW: Związany z Pelplinem poeta, eseista i historyk sztuki ks. Janusz St. Pasierb pisał: „Małe ojczyzny uczą żyć w ojczyźnie wielkiej, w wielkiej ojczyźnie ludzi. Kto nie broni i nie rozwija tego, co bliskie – trudno uwierzyć, żeby był zdolny do wielkich uczuć w stosunku do tego, co wielkie i największe w życiu i na świecie”. Czy podziela pan tęzę o znaczeniu małych ojczyzn?

– WC: Amen. Podziwiam. Ojczyzna (ta wielka – Polska) siedzi w sercu pod warunkiem, że kochasz Ojca, że kochasz ciotkę Jadzię, która ci każe szrubrować jezdnię. Ja Polskę kocham i Polskę bronię, bo chcę mieć moje sznytki i metkę, i musztyk.